



ARTHUR CONAN DOYLE

ŚWIAT
ZAGINIONY



ARTHUR CONAN DOYLE

ŚWIAT
ZAGINIONY

 SAGA
EGMONT

Arthur Conan Doyle

Świat zaginiony

Tłumaczenie A. Spero

Saga

Świat zaginiony

Tłumaczenie A. Spero

Tytuł oryginału *The Lost World*

Język oryginału angielski

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Zdjęcie na okładce: Shutterstock

Copyright © 1912, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728482667

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

ROZDZIAŁ I.

„Nigdy nie brakuje okazji“.

Jej ojciec p. Hungerton, był doprawdy najbardziej nietaktownym człowiekiem w świecie; okrągły, pulchny, w gruncie rzeczy dobroduszny, należał do ludzi zajętych wyłącznie swoim własnym, płytkim, „ja“. Gdyby cokolwiek było w stanie zrazić mnie do Gladys, to bezwątpienia zraziłaby mnie możliwość posiadania takiego teścia. Osobnik ten w głębi duszy żywił przekonanie iż przyjeżdżam do Chestnut, trzy razy w tygodniu po to aby cieszyć się jego towarzystwem i wysłuchiwać jego tyrad na temat bimetalizmu — w której to dziedzinie p. Hungerton był powagą.

Tego wieczoru przez godzinę już przeszło słuchałem jego monotonnego głosu, którym wykladał jak zły pieniądz wypiera z obiegu dobry, lub tłumaczył odnośną wartość srebra, dewaluację pieniądza, i niezachwiane prawa wymiany.

— Wyobraźmy sobie — zawołał głosem, któremu starał się nadać cechę uniesienia — wyobraźmy sobie że wszyscy wierzyciele świata zażądają nagle i jednocześnie zwrotu swoich należności, nastając na bezzwłoczną spłatę, jakież, — biorąc pod uwagę nasze obecne warunki, — jakież będzie rezultat podobnego kroku?

W odpowiedzi zauważyłem iż osobiście byłbym człowiekiem zrujnowanym, na co p. Hungerton zerwał się z krzesła, i, wyłajawszy mnie za płytkość, która uniemożliwiła wszelką poważniejszą rozmowę ze mną,

poszedł się przebrać, gdyż miał tego wieczora uczestniczyć w Masońskim zebraniu.

Nareszcie znalazłem się sam na sam z Gladys; chwila decydująca nadeszła! Przez cały ten wieczór czułem się jak żołnierz, szarpany nadzieją zwycięstwa i obawą porażki, a oczekujący jedynie sygnału aby rzucić się w wir nieuniknionej walki.

Hardy, delikatny profil Gladys odcinał się jasno na tle ponsowej kotary. Jakżeż piękną była moja ukochana! Ale jak daleką!

Chciałem już przerwać długie i nużące milczenie, gdy Gladys podniosła na mnie spokojne spojrzenie i potrząsając główką z wyrazem łagodnej nagany rzekła.

— Przeczuwam iż chcesz mi się oświadczyć Nedzie — i doprawdy wolałabym abyś tego nie czynił i pozostawił stosunki nasze na tej stopie na jakiej się znajdują.

Przysunąłem się nieco bliżej do niej.

— Jakżeż odgadłaś że mam zamiar oświadczyć ci się? — zapytałem zdumiony.

— Czyż kobieta może tego nie odgadnąć? Podobna okoliczność nie bywa dla kobiety nigdy niespodzianką. Ale nasza przyjaźń była tak piękna, i tak miła, że nie powinienes jej niszczyć. Czyż nie zachwyca cię ta myśl, że mężczyzna i kobieta mogą obcować z sobą tak otwarcie, tak prosto jak myśmy obcowali?

— Nie Gladys. Obcować otwarcie i prosto mogę i z naczelnikiem stacji (nie wiem doprawdy w jaki sposób poważny ten urzędnik wmięszał się do naszej rozmowy, pobudzając nas do wesołości). Takie obcowanie nie zadawalnia mnie wcale. Chciałbym otoczyć cię ramieniem, złożyć twoją głowę na mojej piersi, chciałbym....

Ale Gladys podniosła się z krzesła, widząc iż usiłuję urzeczywistnić moje pragnienie.

— Wszystko się popsuło, Nedzie — rzekła — co za szkoda doprawdy łamać naszą starą, dobrą przyjaźń przez podobne wyskoki. Dlaczego nie potrafisz panować nad sobą?

— To miłość — broniłem się — przecież nie ja ją wymyśliłem, ale jest to uczucie naturalne i nieuniknione.

— Miłość wzajemna może być cudowną. Ale co do mnie nie odczuwałam jej nigdy.

— Ale musisz ją odczuć Gladys. Ty taka piękna i taka uduchowiona jesteś przecież stworzona do miłości!

— Na miłość trzeba czekać aż raczy nadejść.

— Ale czemu nie mogłabyś pokochać mnie właśnie? Czy moja powierzchowność stoi na przeszkodzie?

Gladys zawahała się przez chwilę, potem wyciągnęła rękę i miękkim, pełnym wdzięku ruchem przechyliła w tył moją głowę. Przez chwilę przyglądała mi się z pełnym powagi, miłym uśmiechem.

— Nie — rzekła wreszcie — to nie powierzchowność. Nie jesteś próżnym więc śmiało mogę ci to powiedzieć. To coś innego, coś głębszego.

— Mój charakter?

Surowo skinęła głową.

— A więc jak mam się zmienić? Usiądź tu przy mnie Gladys, porozmawiajmy. Nie, nie, przyrzekam że będę grzeczny ale usiądź.

Rzuciła mi spojrzenie, którego nieufność pochlebiła mi znacznie więcej niż jej poprzednie kompletne zaufanie. Uczucie to ujęte w słowa i wyrażone tak czarno na białym wydaje mi się dziwnie prymitywnem i zwierzęcem, ale może jest właściwością wyłącznie tylko mojego charakteru.

Gladys usiadła.

— A więc teraz powiedz mi czemu ci się nie podobam?

— Kocham innego — odparła.

Teraz ja z kolei zerwałem się z krzesła.

— Ten inny nie istnieje — uspokoiła mnie ze śmiechem — kocham się w ideale którego wcielenia dotychczas nie spotkałam.

— A więc powiedz mi coś o tym ideale. Przedewszystkiem jak wygląda?

— Przypuśćmy że wygląda tak jak ty.

— Gladys jesteś okropnie kochana. Ale powiedz mi co potrafi ten człowiek czego ja nie potrafię? Określ mi go jednym słowem: wegeterjanin, aeronauta, teozof, nadczłowiek — wszystkiego się podejmę, jeśli tylko powiesz mi co ci się podoba.

Ta nadzwyczajna płynność mego charakteru i gustów wywołała uśmiech na ustach Gladys.

— A więc przedewszystkiem — rzekła — mój ideał nie przemawiałby nigdy tak jak ty w tej chwili. Byłby to napewno człowiek poważniejszy, energiczniejszy od ciebie, niezbyt skory do ulegania kapryswi naiwnego dziewczęcia. Przedewszystkiem byłby to człowiek czynu, stalowej siły, człowiek który, bez lęku umiałby patrzeć w twarz śmierci, człowiek, któryby dokonał czegoś wielkiego i niezwykłego. Nie jego bym kochała, ale tę sławę otaczająca go jak aureola i rzucającą promienie swoje i na mnie. Pomyśl o Ryszardzie Burton! Czytając jego biografię, napisaną przez żonę, rozumiem cały ogrom jej miłości ku niemu. Albo lady Stanley? Czy znasz te wspaniałe karty jakie poświęca swemu mężowi? Oto są mężczyźni, których może uwielbiać kobieta, będąc im zarazem równą przez siłę swej miłości, podziwiana przez cały świat iż umiała natchnąć podobnych bohaterów.

Była tak prześliczną w swem podnieceniu, że o mało nie złamałem danej przed chwilą obietnicy, ale przemógłszy się, starałem się zbić jej argumenta.

— Nie każdy rodzi się Stanley-em lub Burtonem — odparłem — a zresztą niejednemu brakuje po temu okazji.

Mogę to śmiało powiedzieć o sobie. A wiem że nie omieszkałbym z niej skorzystać.

— Okazji nigdy nie brakuje. Miarą mężczyzny jest to że je stwarza. Prawdziwy mężczyzna nie zna przeszkód. Nie spotkałam nigdy jeszcze prawdziwego mężczyzny ale mam o nim zupełnie wyrobione pojęcie. Życie obfituje w takie okazje i jeśli zadaniem mężczyzny jest je wyzyskać, to szczęście kobiety zasadza się na wynagrodzeniu miłością takiego heroizmu. Przypomnij sobie tego Francuza który w zeszłym tygodniu odbył podróż balonem; pomimo ohydneho wiatru puścił się w drogę, aby wypełnić to co zapowiedział. W ciągu dwudziestu czterech godzin wiatr odrzucił go na 1500 mil, tak że musiał splanować gdzieś w centralnej Rosji. O takim mężczyźnie myślę. Ta kobieta, którą on kochał musiała być przedmiotem zazdrości innych kobiet. A ja także pragnę, aby mi zazdrozczono mojego wybrańca.

— Byłbym gotów ważyć się na to samo aby uzyskać twoje uznanie.

— Ale nie powinieneś robić tego li tylko dla mnie! Ja chciałabym aby to dążenie do sławy było w tobie wrodzonym, nieprzepartym instynktem. Naprzykład opisując w zeszłym miesiącu wybuch w kopalni Wigon, czyż nie mogłeś pośpieszyć na ratunek tym nieszczęśliwym bez względu na niebezpieczeństwo?

— Byłem tam.

— Nie wspomniałeś mi o tem ani słowa.

— Nie uważałem za stosowne chwalić się.

— Nie posądzałam cię o podobną odwagę — zauważyła, a w spojrzeniu jakie rzuciła na mnie błysnęła jakby iskierka uznania.

— Musiałem się na nią zdobyć. Niepodobna napisać dobrego sprawozdania jeśli się nie było samemu na miejscu wypadku.

— Co za prozaiczna przyczyna! Odziera twój postępek z całego uroku. W każdym jednak razie cieszę się że byłeś w tej kopalni — z temi słowy wyciągnęła do mnie rękę ale gestem tak pełnym powagi i godności że ośmieliłem się tylko przycisnąć wargi do jej dłoni — być może — szepnęła — iż jestem egzaltowaną dziewczyną, ale te moje poglądy tak zrosły się ze mną, że nie potrafiłabym się ani wyrzec ich ani zapanować nad nimi. Jeśli wyjdę zamąż to tylko za człowieka sławnego.

— Czemu nie? — zawołałem — podobne tobie kobiety pobudzają mężczyzn do czynu. Wskaż mi jaką okazję a ręczę ci że jej nie ominę. A zresztą masz słusność że mężczyzna szuka okazji a nie czeka na nią. Clive był skromnym urzędnikiem a podbił Indje. Przyrzekam ci że i ja jeszcze czegoś dokonam!

Moja Irlandzka zapalczywość ubawiła Gladys.

— Wierzę ci — rzekła — masz wszystkie dane po temu: młodość, zdrowie, siły, wykształcenie, energję. Było mi przykro żeśmy zaczęli tę rozmowę, ale teraz cieszę się serdecznie — cieszę się ponieważ zbudziła w tobie tyle nowych myśli.

— A jeżeli uda mi się....

Ciepłą, miękką jak aksamit ręką Gladys, zamknęła mi usta.

— Ani słowa więcej. Już od półgodziny powinieneś być w redakcji, ale nie miałam serca przypominać ci o tem. Kiedyś, gdy wywalczysz sobie zaszczytne stanowisko, powrócimy do naszej rozmowy.

I oto czemu, gdym w ten mglisty listopadowy wieczór wracał tramwajem do redakcji, serce biło mi a cała dusza gorzała niezłomnem postanowieniem przedsięwzięcia natychmiast czegoś takiego, coby mnie uczyniło godnym mej ukochanej. Któż jednak mógł wówczas przewidzieć

jak niezwykle będzie ten czyn i jak dziwną drogą, wiodącą ku niemu?

Być może iż ten wstępny rozdział wyda się zupełnie zbędny moim czytelnikom, a jednak bez niego nie byłoby niniejszej książki. Człowiek bowiem mocen jest oderwać się od znanego sobie życia i rzucić się w obcy świat, gdzie nań czekają wielkie niebezpieczeństwa i wielkie nagrody, dopiero wówczas gdy zbudzi w sobie przekonanie że zadaniem jego jest dokonać czegoś wielkiego w życiu. Ja, który byłem wówczas skromniutkim pionkiem w redakcji „Gazety Codziennej” postanowiłem niezwłocznie, tejże samej nocy odważyć się na czyn, któryby mi dał możliwość zdobycia mojej Gladys. Czy ta gotowość do narażenia mojego życia dla zadowolenia własnej ambicji była z jej strony egoizmem czy lekkomyślnością. Nad takim pytaniem może się zastanowić mężczyzna czterdziestoletni ale nigdy młodzieniec lat dwudziestu trzech, płonący ogniem pierwszej miłości.

ROZDZIAŁ II.

„Spróbuj szczęścia z profesorem Challenger“.

Lubiłem szczerze naszego redaktora, pana Mc Ardle, zgarbionego, łysego staruszka, i miałem wrażenie że i on mnie lubił. Prawdziwym szefem był Beaumont, ale przebywał on stale na jakichś olimpijskich wyżynach, skąd dostrzegał jedynie rzeczy tak wielkie, jak kryzys rządowy lub zachwianie równowagi międzynarodowej. Niekiedy przechodził mimo nas do swego sanktuarjum, a błędne jego oko i oderwany umysł zdawały się stale przebywać na Bałkanach lub w cieśninie Perskiej. Był nad nami i poza nami jednocześnie. Mc Ardle jego prawa ręka załatwiał wszystkie nasze sprawy.

Ujrzawszy mnie wchodzącego do pokoju, staruszek skinął mi głową i podniósł binokle z oczu na środek łysego czoła.

— No panie Malone, słyszę że daje pan sobie bardzo dobrze radę — rzekł do mnie swoim miłym szkockim akcentem.

Podziękowałem mu.

— Sprawozdanie z wybuchu w kopalni było bardzo dobre, tak zresztą jak i opis pożaru w Sauthwark. Trzeba panu przyznać prawdziwy talent deskrypcyjny. Ale co za interes miał pan dzisiaj do mnie?

— Chciałem pana o coś prosić.

W oczach jego, utkwionych we mnie, błysnęło zdumienie.

— No, no, o co chodzi?

— Czy nie zechciałby pan, panie redaktorze, poruczyć mi jaką misję z ramienia naszego pisma? Dołożyłbym wszystkich starań aby wywiązać się dobrze z zadania.

— Niech pan określi bliżej rodzaj tej misji, panie Malone.

— Pragnąłbym wziąć udział w takiej, któraby była połączona z jaknajwiększą sumą niebezpieczeństw. Upewniam pana że zrobiłbym wszystko co jest w mojej mocy aby pana zadowolić. Im więcej niebezpieczeństw tem chętniej się ich podejmę.

— A więc tak się panu śpieszy aby stracić życie?

— Aby znaleźć cel życia, panie redaktorze.

— Hm, młody przyjacielu, wydaje mi się pan dosyć egzaltowany. Ale muszę panu powiedzieć że czas takich misji już przeszedł. Rezultaty ich są zbyt nikłe w stosunku do wydatków, jakie za sobą pociągają, no i rzecz oczywista iż na ich czele mógłby stanąć człowiek z wyrobionem nazwiskiem, wzbudzający zaufanie ogółu. Niestety przestrzenie dotychczas oznaczane jako nieznanne na mapie, zostały już oddawna zwiedzone i opisane. Jednakowoż — dodał po chwili z nagłym uśmiechem — te słowa o misjach naprowadza mnie na pewną myśl, co pan sądzi o zdemaskowaniu i ośmieszeniu takiego współczesnego Münchhausena? Przedstawienie go w kłamcę jakim jest w istocie. Jak się panu podoba taka idea?

— Wszystko mi jedno co to będzie, gdzie i jak.

Mc Ardle pogrążył się na parę chwil w myślach.

— Przedewszystkiem musiałyby pan zbliżyć się do tego gościa, lub przynajmniej wymóc na nim parę chwil rozmowy — rzekł wreszcie — nie można panu odmówić talentu w obcowaniu z ludźmi i zdobywaniu ich sympatyj. Nie wiem czy jest to specjalny czar młodości, czy jakiś rodzaj magnetyzmu czy jeszcze co innego, ale ja sam doświadczam tego w stosunku do pana.

— Dziękuję panu redaktorowi.

— Czemuż więc nie miałyby pan spróbować szczęścia z prof. Challengerem?

Przyznaję iż byłem zdumiony.

— Profesor Challenger — powtórzyłem — ten słynny zoolog? Czy to ten sam który pokaleczył Blundella, reportera z „Telegrafu“?

Redaktor uśmiechnął się drwiąco.

— Cóż to szkodzi? Wszak pan sam twierdził przed chwilą że pan szuka niebezpieczeństw.

— Moje pytanie było natury czysto informacyjnej, — odparłem.

— Nie inaczej je zrozumiałem. Nie przypuszczam zresztą aby profesor był zawsze tak gwałtowny, Blundell trafił na nieodpowiednią chwilę, lub też niezgrabnie wziął się do rzeczy. Pan będzie miał więcej szczęścia lub więcej taktu. Mam wrażenie że się to panu uda, a byłaby to cenna gratka dla naszej „Gazety“.

— Ale — zauważyłem — nie wiem nic o tym profesorze. Pierwszy i jedyny raz słyszałem o nim gdy Blundell wytoczył mu sprawę o pobicie.

— Osoba profesora interesowała mnie trochę, to też dostarczę panu pewnych danych o nim — z tymi słowy redaktor wyciągnął jakąś notatkę z szuflady biurka. Mam tu jego króciutki życiorys, czytam go panu:

„Challenger, Jerzy Edward. Urodzony w Largs w 1863. Wykształcenie pobierał w Akademji w Largs i w Uniwersytecie w Edynburgu. W r. 1892 był asystentem dyr. Muzeum Brytyjskiego, w 1893 Kierownikiem Wydziału Antropologii Porównawczej. Zrzekł się tego stanowiska w tym samym roku, po wymianie cierpkich listów z dykcją. Nagrodzony medalem Crayston za prace w dziedzinie zoologii. Jest członkiem następujących towarzystw naukowych zagranicznych — „cała masa nazw, zajmujących kilka wierszy drobnego druku“ — Societé

Belge, Amerykańska Akademia Nauk, La Plata, etc. etc. Exprezydent T-wa Poleontologicznego, Sekcji H. Stowarzyszenia Wielkobrytańskiego“ no i tak dalej, tak dalej. „Wydał następujące prace: Kilka uwag o budowie czaszki Kałmuków“, „Studja nad rozwojem kości pacierzowej“ oraz wiele broszur, z pośród których jedna, a mianowicie „Sofizmaty Weismannizmu“ wywołała gorącą dyskusję na Kongresie Zoologów w Wiedniu. Ulubionymi rozrywkami profesora są spacer i sport alpejski. Adres: Emmore Park, Kensington, W“.

— Proszę weź pan tę notatkę. Nie mam dziś żadnego innego polecenia dla pana.

Wsunąłem papier do kieszeni.

— Jeszcze chwileczka panie redaktorze — rzekłem, zauważywszy iż mam przed sobą już nie rumianą twarz mego szefa, lecz jego różową, łysą głowę — nie zdaję sobie wyraźnie sprawy w jakim celu mam starać się o interview z tym profesorem. Czegóż to on dokonał?

Czerwona twarz ukazała się znów przedemną.

— Przed dwoma laty udał się do Ameryki Południowej na samotną ekspedycję. Wrócił w zeszłym roku. Nie ulega wątpliwości iż był ostatnio w Ameryce Południowej, ale nie chce powiedzieć gdzie. Początkowo opowiadał o swoich przygodach i odkryciach, lecz przyłapany na jakichś niedokładnościach zamknął się w sobie jak ostryga. Są dwie alternatywy: albo przytrafiło mu się coś nadzwyczajnego, albo człowiek ten jest mistrzem łgarzy, i to ostatnie wydaje się znacznie prawdopodobiejszem. Na poparcie swych twierdzeń miał jakieś uszkodzone fotografie, które uważano za sfalszowane. Koniec końców facet stał się tak drażliwym że nie pozwala sobie zadawać żadnych pytań a reporterów zrzuca ze schodów. Zdaniem mojem jest to poprostu megaloman z manią naukową. Takim jest ten pański

profesor, panie Malone. No a teraz niech pan ucieka i niech pan spróbuje coś wykombinować z całej takiej sprawy. Jest pan chyba w tym wieku, gdy mężczyzna nie potrzebuje opieki. Zresztą nic panu nie grozi. Mamy przecież ustawę, chroniącą urzędnika w trakcie wykonywania funkcji, związanych z jego zawodem.

Uśmiechnięta, rumiana twarz zmieniła się w różowawą gładziutką półkulę ocienioną jasnym nikłym puszkciem; audjencja była skończona.

Wyszłem z redakcji, kierując się w stronę mego klubu, ale zamiast wejść doń zatrzymałem się nad rzeką, i, wsparty o żelazną balustradę wpatrywałem się długo w ciemne tłustawe wody. Najlepsze myśli przychodzą mi do głowy gdy jestem na świeżem powietrzu; wyjąłem więc notatkę dotyczącą profesora Challengeera i przeczytałem ją w świetle latarni. I wówczas coś jak natchnienie błysnęło mi w mózgu: zrozumiałem że jako dziennikarz nie będę mógł nawet zbliżyć się do profesora. Ale czyż z króciutkiej jego biografji nie wynikało jasno że człowiek ten był fanatykiem nauki? Czy nie byłby bardziej dostępnym gdyby doń podejść pod jej pokrywką? Postanowiłem spróbować.

Weszłem do Klubu. Było trochę po jedenastej, i choć wielka sala nie była jeszcze pełną, jednak znajdowało się w niej już sporo osób. W fotelu przy kominku zauważyłem odrazu wysokiego, kościstego mężczyznę, który zwrócił się ku mnie, jak tylko zająłem miejsce obok. Był to człowiek na którym mi właśnie w tej chwili zależało: Henryk Tarp, współpracownik czasopisma „Przyroda“, chuda, sucha figura, ale w gruncie rzeczy, jeden z najlepszych, najuczynniejszych ludzi w świecie. Bez wstępów przystąpiłem do mojej sprawy.

— Czy pan słyszał o profesorze Challengeerze?

— Challenger? — Tarp zmarszczył brwi z wyrazem nagany — Challenger wrócił niedawno z Ameryki, przywożąc stamtąd jakąś niesłychana historję.

— Co za historję?

— Kompletny nonsens o jakichś zwierzętach które tam napotkał. Zdaje mi się zresztą że sam zorientował się co do możliwości tego co opowiadał. W każdym razie cofnął to wszystko. Na zebraniu u Rentera plótł rzeczy w które sam nie mógł wierzyć. Była to wogóle skandaliczna sprawa. Z początku miał nawet zwolenników ale prędko ich zraził.

— Czem?

— Swoim niemożliwym zachowaniem i nieznośną szorstkością. Weźmy naprzykład biednego Wadley'a, z Tow. Zoologicznego, który mu posłał następujące zaproszenie: „Prezes Inst. Zoologicznego przesyłając serdeczne pozdrowienie panu profesorowi Challenger, prosi go uprzejmie o zaszczylenie swoją obecnością najbliższego zebrania Instytutu“. Odpowiedź Challengeera była poprostu niecenzuralna.

— Naprzykład?

— Mówiono że brzmiała mniejwięcej w ten sposób: „Profesor Challenger przesyłając panu Prezesowi Instytutu Zoologicznego serdeczne pozdrowienie, prosi go uprzejmie aby się wyniósł do licha“.

— Wielki Boże!

— To samo wykrzyknął biedak Wadley. Przypominam sobie słowa z jakimi zwrócił się do zebranych: „w ciągu pięćdziesięciu lat mojej działalności naukowej“... — wydawał się do głębi wzburzony.

— Wie pan coś więcej o tym Challengeerze?

— Jak panu wiadomo jestem bakterjologiem; faktycznie żyję w promieniu mikroskopu, i dlatego trudno mi należycie ocenić to, co widzę gołym okiem. Uważam się za żołnierza, wartującego na granicy zakreślonej przez siły wyższe

ludzkiemu poznaniu, i czuję się bardzo nieswojo gdy muszę porzucić moje laboratorium i wejść między krzykliwe, wielkie, szorstkie ludzkie istoty. Nie lubię żadnych plotek jednak w ciągu rozmów naukowych słyszałem niejednokrotnie o Challengerze, bo należy on do tych ludzi o których nie można nie słyszeć. Jest to istotnie mądry człowiek — istna baterja naładowana siłą i żywotnością, ale kłótniwy, niewychowany, blagier, i w dodatku niezbyt skrupulatny. Przekroczył miarę temi rzekomymi fotografjami z Ameryki Południowej.

— Nazwał go pan blagierem, ale na czym zasadza się ta jego blaga?

— Nie na jednym, ale ostatnio wyraziła się w stosunku do Weissmanna i ewolucji. Zdaje mi się, że miał nawet z tego powodu wiele nieprzyjemności na zjeździe w Wiedniu.

— Może mi pan to wytłumaczyć o co to chodziło?

— Trudno to powiedzieć w kilku słowach, ale mamy w redakcji sprawozdanie ze zjazdu w tłumaczeniu. Niech pan to przeczyta.

— Właśnie o to chciałem prosić. Mam zamiar wyjednać interwju tego gościa i muszę mieć jakiś powód po temu. Jest pan bardzo uprzejmy pomagając mi w tej sprawie. Chodźmy zaraz o ile nie jest zapóźno.

W pół godziny później siedziałem w redakcji „Przyrody“ przed olbrzymim tomem, otwartym na artykule: „Weissmann versus Darwin“ zatytułowanym dodatkowo: „Protesty w Wiedniu. Gorące utarczki“. Ze względu, na moją, nieco zaniedbaną edukację, nie byłem w stanie zrozumieć całokształtu artykułu, ale jasnym było że angielski profesor potraktował temat w sposób nader agresywny, czem silnie uraził swych kolegów z Kontynentu. „Protesty „Gwar“, „Odwołanie się do przewodniczącego“ — były to słowa które przedewszystkiem rzuciły mi się w oczy.

Co do treści artykułu, to czytając go, miałem wrażenie, jakgdyby w przeważającej części pisany był po chińsku.

— Byłbym wdzięczny gdyby mi to pan przełożył na angielski — zwróciłem się patetycznie do mojego towarzysza.

— To już jest tłumaczenie.

— No to w takim razie spróbuję to zrozumieć w oryginale.

— Istotnie, dla laika jest to rzecz nieco za specjalna.

— Gdybym chociaż mógł stąd wyłowić jedną, dobrą, treściwą sentencję, wyrażającą jakąś jasną myśl ludzką! Ach, już jest. Ta mi wystarczy. Wydaje mi się że rozumiem ją w pewien mglisty sposób. Przepiszę ją sobie, i będzie ona moją gwiazdą przewodnią w drodze do straszego profesora.

— Czy mogę czemś jeszcze panu służyć?

— Owszem, chciałbym napisać do niego, i gdybym mógł stąd ten list wysłać, podając wasz adres, nadałoby mu to pożądaną charakter.

— Pański gość wpadnie tutaj, narobi hałasu, połamię nam meble.

— Nie, nie... pokażę panu list, i upewniam pana że nie będzie w nim nic rozdrażniającego.

— No więc oto moje biurko i fotel. Papier znajdzie pan tu. Chciałbym spojrzeć na list przed wysłaniem.

Ułożenie tego listu zajęło mi dosyć czasu, ale pochlebiam sobie że wypadł nienajgorzej. Z pewną dumą odczytałem go krytycznie nastrojonemu bakterjologowi.

„Szanowny Panie Profesorze — głosił list — jako zapalony badacz natury z żywym zainteresowaniem śledziłem Pańskie wywody co do różnicy między Darwinem a Weissmannem. Niedawno zagłębiłem się ponownie w tych zagadnieniach, odczytując powtórnie....

— Piekielny kłamczuchu! — wtrącił Henryk Tarp.

— „odczytując powtórnie mistrzowski referat jaki Sz. pan Profesor wygłosił w Wiedniu. Jasna i wspaniała ta praca jest ostatnim słowem w tej dziedzinie nauki. Napotkałem tam wszelako jedno zdanie, które poniżej cytuję:

— „usilnie protestuje przeciwko nieuzasadnionemu i kompletnie dogmatycznemu twierdzeniu iż każde oddzielne „id“ jest samo w sobie mikrokosmem, o historycznej budowie, ukształconej powolnie przez cały szereg pokoleń“. Czy zważywszy ostatnie odkrycia, Pan Profesor nie skłaniałby się do zmiany powyższego twierdzenia? Czy nie uważa Sz. Pan iż jest ono wyrażone nieco za silnie? Niniejszem chciałbym prosić uprzejmie o udzielenie mi kilku chwil rozmowy, gdyż zastanawiając się głęboko nad tym tematem, doszedłem do pewnych wniosków, które pragnąłbym rozwinąć w osobistej rozmowie. Jeżeli Sz. pan Profesor niema nic przeciwko temu będę miał zaszczyt odwiedzić Go pojutrze (środa) o jedenastej w południe. Łącząc wyrazy najgłębszego szacunku kreślę się unizony sługa: Edward M. Malone“.

— No jak się panu podoba? zapytałem tryumfująco.

— Jeśli to zgadza się z pańskim sumieniem...

— Sumienie i ja jesteśmy dotychczas zawsze w zgodzie.

— Ale co pan chcesz zrobić?

— Dostać się do niego. Skoro raz będę w jego gabinecie, znajdę jakiś punkt oparcia. Może nawet posunę się do szczerego wyznania. Jeśli ten człowiek jest sportsmenem to mój postępek może go ująć.

— Ująć, rzeczywiście! To on raczej ujmie pana po swojemu. Radzę się zaopatrzyć w kolczugę, albo w amerykański strój footballowy. No, tymczasem do widzenia. Odpowiedź może pan odebrać we środę zrana — jeżeli wogóle raczy panu odpisać. Jest to gwałtowny, nieobliczalny człowiek, znienawidzony przez wszystkich, którzy z nim mają

do czynienia, pośmiewisko studentów, o ile ośmielają się brać go za cel żartów. Kto wie czy nie byłoby lepiej dla pana, gdybyś pan o nim nigdy nie był słyszał.

ROZDZIAŁ III.

„Jest to człowiek zupełnie niemożliwy“.

Nie było sądzonem, aby obawy czy nadzieje mego przyjaciela spełniły się. Przyszedłszy doń w środę rano zastałem już list ze stemplem West Kensingtonu, imię moje wypisane było na kopercie charakterem, który przypominał sploty kolczastego drutu. Treść listu była następująca:

Enmore Park, W.

Panie, otrzymałem list pański, w którym popiera pan moje wywody, aczkolwiek nie sądzę aby potrzebowały bądź pańskiego bądź wogóle czyjegokolwiek poparcia. Pozwolił pan sobie użyć słowa „wywody“ określając moje badania nad teorią Darwina, które to słowo w podobnem zestawieniu jest poniekąd obrazą. Będąc jednak przekonany że zgrzeszył pan raczej przez nieświadomość i brak taktu niżeli przez złośliwość, nie chcę rozwodzić się nad tą sprawą. Przytacza pan z mego referatu jedno zdanie, którego nie może pan dokładnie zrozumieć. Byłbym skłonny mniemać, iż treść tego twierdzenia może się wymknąć jedynie osobnikowi o umysłowości niższej od przeciętnego poziomu, jeśli jednak słowa moje wymagają komentarzy jestem gotów przyjąć pana o naznaczonej przezeń godzinie, choć wszelkie wizyty tak jak i wszelcy goście są mi niezmiernie niemili. Co do Pańskiego przypuszczenia iż mógłbym zmienić moje zdanie, to muszę pana poinformować, iż nie leży to w moich obyczajach, wówczas

gdym to zdanie rozważył i głosił. Zechce pan łaskawie pokazać kopertę tego listu memu służącemu Austinowi, który musi uciekać się do wszelkich środków ostrożności, aby chronić mnie przed natrętnymi nędznikami, nadającymi sobie miano „dziennikarzy“

Jerzy Edward Challenger“.

Taki to list odczytałem głośno Henrykowi Tarp, który tego dnia zjawił się wcześniej, aby dowiedzieć się o rezultacie moich starań. Jedyłą jego uwagą było: „sprzedają teraz jakieś nowe lekarstwo, cuticura czy coś w tym guście, które działa lepiej od arniki“. Niektórzy ludzie mają tego rodzaju dziwne pojęcie o dowcipie.

Było blisko pół do jedenastej, gdy wręczono mi list, ale dorożką samochodową przybyłem bez spóźnienia na oznaczony czas. Dom, przed którym się zatrzymałem miał wygląd imponujący, a wielki portyk, i ciężkie kotary świadczyły o zamożności okropnego profesora. Drzwi otworzył mi dziwaczny, smagły, jakby zasuszony osobnik, niewiadomego wieku, ubrany w ciemną kurtkę szoferską i brunatne getry. Dowiedziałem się później, iż był on szoferem, pełniącym zarazem funkcję odprawianych kolejno lokai. Obejrzał mnie od stóp do głów badawczem, błękitnem okiem.

— Naznaczone widzenie? spytał.

— Tak jest.

— Ma pan list?

Wyciągnąłem kopertę.

— Dobrze.

Wydawał się człowiekiem małomównym. Gdy weszłem za nim przez korytarz zatrzymała nas nagle drobna kobietka, która wyjrzała zza drzwi jadalnego, jak się później okazało, pokoju. Była przystojna, żywa, ciemnooka, podobna z typu raczej do francuski, niż do angielski.

— Przepraszam na jedna chwilę — rzekła — Austin proszę zaczekać. Niech pan wejdzie. Pozwolę sobie spytać, czy pan zna mego męża?

— Nie pani, nie mam przyjemności.

— W takim razie zawczasu za niego przepraszam. Muszę panu powiedzieć, iż jest to człowiek niemożliwy — absolutnie niemożliwy. Po takim uprzedzeniu będzie pan skłonniejszy do wyrozumiałości.

— Jest to bardzo uprzejmie z pani strony.

— Niech pan bezzwłocznie opuści pokój, jeżeli mąż zacznie się unosić. Niech się pan z nim nie sprzecza. Pokaleczył już za to parę osób. Później robi się z tego głośna sprawa, która odbija się na mnie, na nas wszystkich. Mam nadzieję, że to nie o Ameryce Południowej chce pan z nim rozmawiać?

Nie mogłem kłamać wobec kobiety.

— Mój Boże! toż to najniebezpieczniejszy temat. Jestem przekonaną, iż nie uwierzy pan ani w jedno słowo, które panu powie, i nie dziwię się temu. Niech pan udaje, że pan wierzy, to wszystko przejdzie gładko. Niech pan nie zapomina, że on sam wierzy we wszystko co mówi. O tem mogę pana zapewnić. Niema na świecie uczciwszego odeń człowieka. Ale nie zwlekajmy dłużej, bo mógłby coś podejrzewać. Jeśli mój mąż stanie się niebezpiecznym — naprawdę niebezpiecznym — niech pan zadzwoni i niech pan się broni dopóki nie nadbiegnę. Zazwyczaj udaje mi się go uspokoić, nawet w najgorszych napadach.

Z tymi to, wzbudzającymi otuchę, słowy, pani domu powierzyła mnie znów, opiece milczącego Austina, któren w ciągu naszej krótkiej rozmowy, czekał jak spiżowy posąg milczenia i dyskrecji, aby zaprowadzić mnie aż na koniec korytarza. Rozległo się pukanie we drzwi, jakiś pomruk z zewnątrz i znalazłem się w obecności profesora.